

Marta Wieteska

## OŁOWIANA TWIERDZA

Reaktor przestał wściekle ryczeć, a szумы drzew i jazgot mutantów cichły w miarę upływu czasu. Wszystko wracało do normy, o ile można było tak to nazwać. Tutaj, w Czarnobylskiej Strefie Zamkniętej, nic nie było normalne. Co najwyżej – nieprzewidywalne.

Wstałam z brudnej, dawno niezamiatanej posadzki i otrzepałam nogi z kurzu i resztek betonu. Niby nikt nie zwracał uwagi na brud, ale trzeba zachować jakieś standardy. Czasem nie myłam się przez tydzień, ale to, co mogłam, prałam w resztkach wody niezdatnej do picia. Ścisnęłam w dłoni Żądło – glocka, którego ukradłam ojcu z sejfu przed ucieczką w nieznane – i wyjrzałam przez dziurę w ścianie. Oceeniłam swoje położenie. To nie była się na zła pozycja, aczkolwiek zawsze mogło być lepiej. Mając niewiele czasu na poszukiwanie schronienia, wbiegłam do starej chaty na środku łąki. W promieniu 1,5 km nie było żadnych drzew, prócz starej uschniętej jabłonki. Wychodząc teraz z chaty, rozejrzałam się dokładnie po okolicy. Czysto. Mój wewnętrzny głos kazał mi usiąść pod szczątkami drzewa, które znajdowały się kawałek od wejścia – oczywiście, dawno zamurowanego. Nie zważając na nic, zdjęłam plecak i usiadłam wygodnie pod jabłonką.

Drzewo przypominało mi życie na Dużej Ziemi. Z początku beztrudne, a później, kiedy zaczęłam dorastać, coraz trudniejsze. Wyobraziłam sobie zielone listki powiewające delikatnie na wietrze i soczyste owoce, które można było piec nad ogniskiem przyjemnie ogrzewającym policzki. Ścisnęłam mocniej glocka. Uwielbiałam czuć w ręku broń. Przekładałam pistolet z lewej ręki do prawej i dokładnie obserwowałam otoczenie. Prawą dłonią nerwowo przeczesalam kosmyki włosów spadające mi na twarz. Palce lewej ręki gładziły zagłębienia w uchwycie glocka. Twarde, nieustępliwe i pewne siebie. A w środku tylko osiem sztuk amunicji. Wystarczająco, aby strzelić sobie w głowę, ale za mało, żeby przeżyć dłużej niż tydzień. Czy ojciec myślał o tym samym, trzymając broń w ręku? Co powiedział, kiedy nie znalazł glocka w swoim sejfie? Życie córki biznesmena nie jest tak kolorowe, jak może się wydawać. Pełne brutalności, kaca, zboczonych kolegów i niebezpieczeństw dla całej rodziny. Aż w końcu postanowiłam uciec. Gdziekolwiek. Przed siebie. I nigdy nie wracać. Po siedemnastu latach męczarni. Tak właśnie trafiłam do Zony. I narodziłam się ponownie.

W końcu nadszedł czas, kiedy należało wstać. Schowałam Żądło do kabury, rękawem starłam samotną łzę spływającą po brudnym policzku, ukazującą mój naturalny kolor skóry. Ból ściąga z nas maski i zmusza do pokazania delikatnej, człowieczej natury. Między palcami czułam swoje, kiedyś jedwabiste włosy. Nadal został na nich fioletowy kolor, mimo dużych odrostów i wielokrotnego spotkania z deszczem. Kiedy byłam jeszcze u Hoffmana, załatwił mi dwie farby prosto z Dużej Ziemi. Jednak nie mogłam zostać u niego na zawsze. Nie można być ciągle wrzodem na tyłku, tym bardziej w bunkrach Hoffa, śpiąc na jego pryczy. Później złapał jakieś świństwo od nieznanego artefaktu i do tej pory nie wiem, co się z nim stało.

Zmierzałam na zachód. Słońce powoli skłaniało się ku horyzontowi, by zaszczyścić swoim blaskiem inną część świata, którą widziałam jako małe dziecko. Teraz, żyjąc tutaj, wydaje mi się to jeszcze ciekawsze niż Indie, Włochy czy Brazylia. Poznałam nowy wymiar szczęścia. Mapę zgubiłam jakiś czas temu, ale każdego wieczoru do swojego planu dorysowywałam punkciki ze znanymi mi budynkami. Mimo wszystko budynki, w przeciwieństwie do anomalii, się nie przesuwały. Chociaż tylko Zona wie, co się naprawdę dzieje na tym obszarze.

Między gęsto posadzonymi drzewami spostrzegłam zarys ogrodzenia z drutem kolczastym. W niektórych miejscach siatkę zrównano z ziemią. Czy to przez pojawiające się anomalie, czy przy ucieczce z miejsca, które znajdowało się jakieś dwa kilometry od mojego położenia. Przyśpieszając krok na tyle, na ile było to bezpieczne, zaczęłam się zbliżać do zabudowań. Wyjęłam z kabury Żądło, przeczesałam włosy i chowając się za drzewami, podchodziłam coraz bliżej. Nabój przeszedł z magazynka do komory. Przezorny zawsze ubezpieczony. Póki co, nie widziałam niczego niepożądanego, ale czort wie, co mogło kryć się za siatką. A sporo się kryło. Dawna baza wojskowych, którzy dawno wzięli dupę w troki i uciekli. Tylko czemu zostawili bazę, zamiast jej bronić? Tego pewnie się nie dowiem, chyba że to, co ich wystraszyło, spotka również mnie.

Jak się okazało, miejsce to nawiedzili już bandyci, krzycząc głośno *Cheeki Breeki*. Widać było ślady działania granatów i wraki samochodów. Jeden leżał ograbiony i lekko rozłożony na części – aż dziwne, że nie dopadł go żaden mutant. W środku nic mnie nie zaskoczyło. Wszędzie bałagan jak po huraganie, poprzewracane i porąbane biurka, wybite okna i wyrwane z zawiasów drzwi. „Raz się żyje” – pomyślałam i ruszyłam na poszukiwanie czegoś, czego nie zdołali zabrać bandyci. Na drugim piętrze głównego budynku znalazłam pokój z szafkami. Takie same, tylko mniejsze pamiętam jeszcze z czasów szkolnych. Wtedy trzymało się w nich kurtki i buty, ale tutaj niewątpliwie mogłam znaleźć

coś bardziej przydatnego. Przestrzeliłam zamek w pierwszej szafce, drzwiczki ustąpiły, a w środku znalazłam... pustkę. I PO TO MARNOWAŁAM BEZCENNA AMUNICJĘ?! Zdenerwowana przeczesalam włosy i zaczęłam otwierać inne metalowe skrzynki, których nie pilnowały kłódki. To było o tyle lepsze, że nie musiałam marnować amunicji, ale z drugiej strony – dawno mogły być przez kogoś opróżnione.

Trzecia szafka. Czwarta, piąta, szósta. Dziesiąta. Nadal nic. Tylko puste butelki po wódce. Opróżniane zapewne na miejscu jednym haustem, z drżącymi rękami. Bez cienia nadziei podeszłam do ostatniego rzędu szafek i – dzięki ci Zono! – w końcu coś znalazłam. Były tam dwie puszkę mielonki, wyglądające na zdatne do zjedzenia, trzy sztuki wojskowych sucharów z kminkiem, jakie jadłam u Hoffa, i kilka sztuk ammo – niestety, nie do mojego Żądła. Otworzyłam w połowie pusty plecak i wrzuciłam to, co zdołałam znaleźć. W ostatniej szafce znalazłam książkę z rosyjskimi bukwami. Bez wahania wrzuciłam ją do plecaka. Jeśli znajdę kogoś, kto rozumie cyrylicę, będę w niebie.

Gdy wychodziłam z budynku, samotny promień słońca oślepił moje niebieskie oczy. Zaslaniając je ręką, próbowałam znaleźć źródło światła, gdyż ognista kula znajdowała się za moimi plecami – i oby tylko ona. Przechodząc bezpiecznie przez martwy plac, skryłam się za przewróconą ciężarówką i wydobyłam Żądło z kabury. Jego uchwyt chłodził mi palce. Czułam się pewniej. Między drzewami połyskiwało coś dziwnego, co zostawiłam za sobą na Dużej Ziemi. Okrągła tarcza zegarka. Odruchowo chciałam przesunąć zegarek na lewym nadgarstku, ale go tam nie było. Zamiast tego dłoń powędrowała do fioletowych włosów osłoniętych kapturem.

Jeden krok bliżej celu, drugi i trzeci. To, co tam zobaczyłam, znacznie odbiegało od tego, co chciałam zobaczyć. Ogromne zmutowane przez Zonę zwierzę – miśsacz – a pod nim bezbronny stalker z pustym magazynkiem. Westchnęłam. Zatem jego broń na nic mi się nie przyda. Schowałam swojego glocka i weszłam do lasu w poszukiwaniu dwóch patyczków. Kiedy je znalazłam, oderznęłam kawałek paska z plecaka nieznajomego i związałam kijki tak, aby tworzyły coś na kształt krzyża. Nie miałam pojęcia, czy stalker był wierzący. Ale tutaj, gdzie nikt nikogo nie zna, należał mu się chociaż godny pochówek. Wbiłam prowizoryczny krzyż w ziemię i powiesiłam na nim maskę słonia, którą znalazłam w pobliżu. Nie chciałam zrzucić mutka ze zmarłego ani ściągać mu kaptura, pod którym kryła się jego twarz. Dokumentów nie znalazłam.

– Niech mu Zona lekką będzie – usłyszałam za plecami czyjś głos. Odwróciłam się.

Za mną stał wysoki facet, któremu sięgałam najwyżej do połowy ramienia. Szczupły, z tygodniowym zarostem. Wydawał się przyjazny, ale nie chciałam mu zbyt ufać.

– *Mademoiselle...* – Ukłonił się, widząc, że mu się przyglądam. – Cóż panna porabia w tej ohydnej i niebezpiecznej dziurze, i to sama? – zapytał.

– Hm... A co ty tu robisz? Ładnie tak się skradać i straszyć kobiety? – odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

– Żyję tu sobie. Duga jestem. – Wyciągnął do mnie rękę. – Miło mi.

– Luna – odpowiedziałam i chwyciłam jego chudą, kościstą dłoń, która pewnie nieraz pozbawiła kogoś życia.

– Luna, Luna... Nie kojarzysz czasem Szatana lub Kasztana?

– A skąd miałabym kojarzyć?

– Nie wiem. Przyszłaś z tamtej strony. – Pokazał na wschód. – Myślałem, że może się u nich zatrzymałaś. Kto by nie zwrócił uwagi na taką ładną stalkerkę? – Posłał mi uśmiech niczym Joker. Aż mi ciarki przeszły po plecach.

– No, nieważne. Dokąd zmierzasz? – Nadal mnie wypytywał i coraz bardziej mnie to denerwowało.

– Nie mam sprecyzowanego celu, idę przed siebie – odpowiedziałam.

– Jak sądzisz, czy pewna stalkerka by się obraziła, gdybym jej zaproponował wspólną podróż?

– A niech cię... – Machnęłam ręką i nie kończąc zdania, ruszyłam przed siebie. Zerknęłam tylko na krzyż, który zrobiłam. Niestety, Duga polazł na mną...

– O, a widzisz to? – Wskazał na uschnięte drzewo, które prawie sięgało nieba. – Gdy byłem mniejszy, z łatwością na takie wchodziłem. A z tamtych krzaków ostatnio wyskoczyła chmara ślepych psów i... – opowiadał, opowiadał i opowiadał. Całą drogę wypełnił ten jego monolog. Nie miałam ochoty odpowiadać na pytania, więc po prostu maszerowałam przed siebie.

– ...później uciekłem na drzewo. Opanowałem to do perfekcji. Chcesz zobaczyć?

– W rzyć sobie wsadź te pomysły, Duga. Ile ty masz lat, że chcesz się chwalić takimi umiejętnościami? – Przy słowie „umiejętności” w powietrzu zrobiłam znak cudzysłowu. Na szczęście pomogło i przez chwilę miałam spokój.

– Dlaczego trafiłaś do Zony? – W końcu znów się odezwał.

– Czy to ważne? Zajmij się sobą. Może teraz ja zacznę zadawać pytania? – odpowiedziałam wściekła, przeczesując włosy prawą dłonią.

– Niech ci będzie, laska. Ja to ogólnie prosty człowiek jestem, ale mój ojciec miał duży teren pod uprawy. No i całe życie gracowałem te pola, orałem i siałem. Przez to pewnie mam takie mięśnie i mogę łatwo wchodzić na drzewa. A i po Zonie nieźle się poruszam. Znam rozkład wszystkich budynków, spis anomalii i artów. Dla chcącego nic trudnego – mówił, pokazując palcem wskazującym na swoją głowę.

– Ty się lepiej puknij w czerep. Chyba promieniowanie źle na ciebie działa...

Dziwne, że Duga tak paplał. Podobno dobry z niego stalker, a zachowywał się jak byle kot z Kordonu. Przecież powinien wiedzieć, że anomalie lubią się przesuwac. Ale wołałam nie podważać jego wiedzy i umiejętności. Po prostu to przemilczałam.

– Może i źle działa, bo antyradu dawno nie łykałem, ale nic nie przyćmi twojej urody, Luna – zatrzymał się i złapał mnie za rękę, bym również stanęła.

Nasze spojrzenia się skrzyżowały. Musiałam solidnie podnieść głowę, aby zerknąć w jego wyblakłe oczy.

– Masz tak niebieskie oczka, że nie mogę się napatrzeć. Może znajdziemy jakiś budynek i spędzimy bezpiecznie noc? – I żebyśmy poczuła się bezpieczniej, objął mnie ramieniem. Jednak zrzuciłam jego rękę.

– Duga, opanuj się. O co ci chodzi? Poza tym, mówiłeś, że znasz dokładnie rozkład budynków, nieprawdaż?

– Nie bądź taka poważna, Luna. Przecież widzę, że na ciebie działałam. – Złapał mnie za biodra, ale umizgi przerwał mu hałas ostrzału. Dochodził z miejsca o jakieś 10 minut drogi od naszego położenia.

– Dokończymy tę rozmowę wieczorem, a teraz zobaczmy, co się tam dzieje. – Odwrócił się do mnie plecami, patrząc w stronę ostrzału. – Masz broń? – zapytał, a w odpowiedzi poczuł zimną lufę Żądła przy skroni.

– Jasne – rzuciłam.

Usłyszałam głośne przełknięcie śliny. Ruszyliśmy. Kierując się wprost na źródło walki, szliśmy dość szybko przez gęsty las. Duga jak zwykle nie potrafił przestać gadać choć przez chwilę. Ściągał na nas dziwne odgłosy w krzakach i grupki kruków, które czuwały na gałęziach napromieniowanych drzew. Licznik lekko trzeszczał, ale nie zwracaliśmy na to uwagi. Tło było znośne. Dało się przeżyć.

– Chyba jesteśmy w odpowiedniej odległości – zauważył mój „towarzysz”, jak sam się nazwał.

Znajdowaliśmy się jakieś 20 metrów od miejsca ostrzału. Zza rzadkich krzaków mogliśmy dostrzec coś na kształt starego budynku.

– Duga, wiedziałeś o tych zabudowaniach? – zapytałam, próbując się odgryźć.

– Jasne – odpowiedział szeptem. – Podejźmy bliżej.

Przeszliśmy jeszcze 10 metrów. W dłoni dzierżyłam Żądło, a Duga wyjął... rozklekotanego kałasza 7.62. Zastanawiałam się, co taki „doświadczony” stalker robi z motyką w dłoniach, skoro mógłby mieć każdą inną broń. Wolałam to przemilczeć.

Zza krzaków i drobnych drzewek wyłoniła się w całej swej okazałości – twierdza. W jej pobliżu stała stara ciężarówka z przestrzelonym dachem, zza którego wyglądał bandyta. Drugi leżał obok niego i z ogromnym trudem opróżniał butelkę wódki.

– To banditeros... – stwierdził Duga, a potem uklęknął na jedno kolano i zaczął celować.

– Duga, przestań idioto. Życie ci niemiłe? Skąd wiesz, co to za jeden tam siedzi?! A tym bardziej, czy tych czarnobylskich biedaków nie ma więcej!

Przemyślał to i zamiast od nowa się składać do strzału, wstał i zaciągnął mnie głębiej w krzaki.

– Słuchaj, Luna. Nie musisz mnie uczyć. Gdybym był tutaj ze znajomymi, to dawno byśmy ich trafili – mówiąc to, złożył palce dłoni w pistolecik i strzelił sobie w głowę.

– Duga, psie jeden. Nie jesteś z nimi, tylko ze mną. To zasadnicza różnica. Chciałeś iść ze mną, więc działamy na moich i Zony zasadach, okej? – wysyczałam.

– Podobają mi się takie kobiety. – mrugnął do mnie.

– *Cheeki Bre...* – Naszą rozmowę znów zagłuszyły dźwięki walki. Bandyta nie dokończył hasła, bo dostał kulkę w łeb.

Rozejrzałam się po polu. Na szczęście obydwaj leżeli trafieni i umierali. Słysząc było ostatnie rosyjskie pomruki, a potem... grobową ciszę.

– Idziemy – rzucił Duga i ruszył w stronę zabudowania.

Gdy za nim szłam, zerwał się lekki wiatr, a trawa zaczęła się kołysać pod moimi stopami. Czułam delikatne muskanie o łydki i pomyślałam o wakacjach, o piknikach na łąkach... A potem zauważyłam, co się dzieje w prawdziwym świecie.

– DUGA! – wrzasnęłam, na pewno zdradzając swoje położenie.

Stalker się odwrócił, a wtedy zobaczyłam, jak trawa wpija się w jego nogi. Krew. Cierpienie. Ból. Śmierć.

– Opanuj się, Luna – powiedziałam do siebie. – Jakoś z tego wyjdiesz.

Im bardziej brnęłam do przodu, tym mocniej źdźbła oplatały moje biedne nogi, raniąc je niemiłosiernie. Przed sobą słyszałam pojękiwanie przestraszonego stalkera.

– Duga, w coś ty nas wpakował?! Podobno znasz rozkład niebezpieczeństw! – krzyczałam wściekła.

Ale nie dostałam odpowiedzi. To wielkie ścierwo biegło przed siebie, przewracając się i raniąc o trawę dłonie. Przypominał trochę Jezusa, jakiego przedstawia się na obrazach, kiedy upada pod ciężarem krzyża. Tak właśnie wyglądał uciekający Duga.

– Nie zostawiaj mnie! – darłam się za nim, ale to i tak nie pomagało. A potem mnie olśniło, że należy stać w miejscu, bez ruchu, dopóki anomalia się nie uspokoi. Rdzawe włosie – to było właśnie to.

Burzę w moim umyśle rozwiął obraz nieznajomej zakapturzonej postaci z długą bronią w ręku. Teraz oprócz bólu poczułam też przeraźliwy strach. Czas jakby się zatrzymał, a ja stałam jak wryta, po kolana w rdzawym włosiu.

– A ty kto? – zawołał zakapturzony, zwracając się do mnie. – Nie ruszaj się, panienska, zaraz cię wyciągnę.

Duga upadł, a to, co stało się potem, kazało mi zakryć moje niebieskie oczy zmęczonymi rękami. Zona udowodniła po raz kolejny, że zawsze ma rację. Stalker, który tak paskudnie mnie wystawił, narażając na dziwną śmierć z powodu anomalii lub nieznajomego, wpadł w wyżymaczkę, która doszczętnie wyżeła z niego całe życie. Karma wraca, zdrajco...

– Spokojnie, już po wszystkim – usłyszałam głos tuż obok. – Możesz wyskoczyć z tego cholerstwa. Przecież nie będziesz tutaj kwitnąć i czekać, aż wszamie cię jakiś mutek, prawda?

Jak kazał nieznajomy, wyszłam z anomalii. Kiedy znalazłam się w bezpiecznym miejscu, spojrzałam na swoje poharatane nogi... Spodnie do niczego się już nie nadawały, a łydki krwawiły jak nigdy.

– Chodź, opatrzę cię. Zapraszam w moje progi, od razu znajdę ci jakieś spodnie na zmianę – zaproponował.

Rzucając mutry przed siebie, kroczyliśmy powoli w stronę budynku. Nieznajomy obejmował mnie jedną dłonią w pasie, a ja kulejąc i wisząc mu na ramieniu, powoli podążałam przy jego boku.

– Witam w Ołowianej Twierdzy, schronieniu przed wszelakim złem, zimnem i mutantami. Rozgość się – powiedział po prostu.

Rzuciłam okiem dookoła. Dość duży budynek, kilkupiętrowy, z zapachem ogniska w powietrzu. Dopiero wtedy zauważyłam cień postaci, która wyłaniała się zza języka ognia. Ogień. Strach. Ból... I te włosy ognistej barwy, połyskujące nad palącym się ogniskiem.

– Czas opatrzyć ci rany. Usiądź sobie, a ja pójde po apteczkę – głos stalkera wybił mnie ze stanu paniki. Ale wtedy przypomniałam sobie o pociętych nogach. Ogarnięta strachem, osunęłam się na zimną posadzkę...